

Nie ma magii na Netfliksie

Pod zachwytem nad serialową adaptacją serii Andrzeja Sapkowskiego się nie podpiszę. Historia czy też opowieści znane z książek potraktowane zostały dość swobodnie, tak, by widz o przeciętnym intelekcie mógł zrozumieć, o co chodzi. I by czekał na kolejne sezony. Ktoś powie: każdy może sobie wyobrazić postacie z książek jak chce! Oczywiście, tylko dlaczego postacie z serialu tak boleśnie przypominają te z komputerowych gier? W zbyt wielu momentach kadry przypominają sceny żywcem przeniesione z gry. To za mało, by oddać ujmującą urodę prozy Sapkowskiego. Tu wdajemy się w spór, który toczą nowi odbiorcy fantasy – co lepsze: gry czy książka? Gracze natychmiast odpowiedzą: gry! Bez nich książki Sapkowskiego nie byłyby tak popularne. Miłośnicy literatury pokręca głową ze zdumieniem: przecież gier nie byłoby, gdyby nie geniusz pisarza.

Zaraz po premierze pierwszego sezonu „Wiedźmina” fani złożyli petycję, w której domagali się, by usunąć showrunnerkę (osobę odpowiedzialną za całokształt projektu) Lauren Schmidt Hissrich. Do najzabawniejszych zaliczam ten fragment apelu: „Lauren Schmidt kompletnie nie szanuje i lekceważy uniwersum i lore (zwyczajowy kontekst) Wiedźmina, jak również fanów tego uniwersum. Całkowicie ignoruje opinię społeczności i zasady tego uniwersum, zamieniając je w platformę do promowania swoich pomysłów. Kompletnie uderza w lore tego świata i opluwa ogromną społeczność fanów Wiedźmina. Pozostawienie jej na stanowisku showrunnera (zwłaszcza po 1. sezonie) oznaczałoby, że platforma Netflix również opluwa wszystkich fanów tego uniwersum”.

Netflix nie jest wydziałem filozofii stosowanej, tylko biznesem. Biznes jest tym lepszy (w sensie więcej zarabia) im produkt płytszy, bardziej zrozumiały, dostępny dla „zwykłego człowieka”. Powszechność odbioru jest tu kluczem. Z jednej więc strony Lauren i jej zespół muszą spełnić oczekiwania tych, którzy wychowali się na grach, z drugiej – pamiętać, że wiedźmińską sagę Andrzej Sapkowski pisał w latach 90. ubiegłego wieku. Sprostać tak sprzecznym wymaganiom się nie da. To są różnice pokoleniowe w sposobach spędzania czasu, absorpcji rozrywki i rozumienia treści. Dlatego „Wiedźmin” Netfliksa to suma kompromisów. Kompromisów, rzecz oczywista, opakowanych i opowiedzianych całkiem ładnie.

Obraz i dźwięk (efekty, dialogi, tło) najwyższej dostępnej (telewizyjnej) jakości. Kadry – jak pocztówki, kolory – tęcza może się schować. Efekty specjalne – mucha nie siada, toż to Bagiński! A czego się tknie Tomasz Bagiński – złotem się wydaje. Historia, jaką opowiada serial... hmm, czy to na pewno było w książkach? Skąd nagle te wątki, czemu to tak splątane, a z drugiej strony jakby podane łopatą? Pierwsze odcinki ciągną się nieźnośnie, dopiero pod koniec akcja nabiera tempa, by potem znów przygasnąć i pozornie domknąć wątki. Pozornie, bo przecież trzeba jeszcze zachęcić do sezonu trzeciego, czwartego, piątego... Postaci... hmm, dlaczego takie przerysowane? Albo przeciwnie – sztucznie stonowane, jakby ktoś im kazał grać tylko tak i w żadnym wypadku inaczej. Pozytywnie wyróżnia się Ciri, zdumiewa banalność Yeniffer. Elfy są wredne i nieszczerze, boleśnie oczywiste. Debaty, dialogi i spotkania klanu magów przypominają operowe rozgrywki. Dobrze, że Jaskier jest udany. Ale Jaskra nawet Zbigniew Zamachowski w polskiej wersji Marka Brodzkiego z 2001 roku nie dał rady zmarnować. To może dialogi? Tu znów serial traci. U Sapkowskiego dowcip jest wielopoziomowy, w sytuacji, opisie, poincie. W serialu? Miałem wrażenie, że niektóre kwestie pisał Paulo Coelho. A Geralt? Geralt jest po prostu męczący. Sapkowski nazwał go „nadętym dziadem”. Nadęty ów dziad męczy się i widza przez osiem odcinków sezonu drugiego.

Opowiadania Sapkowski drukował najpierw w „Fantastyce”. Pierwsze z nich – 35 lat temu. Maciej Parowski (zmarły redaktor „Fantastyki” i „Nowej Fantastyki”) wbrew woli autora zebrał je w kieszonkowy tomik i zatytułował „Wiedźmin” – wyszła pierwsza książka. Autor się zirytował, jednak

fakt stał się faktem, książka bestsellerem. Następnie za wydawanie wzięli się fachowcy z SuperNowej – Sapkowski wydał dwa zbiory opowiadań i zapowiedział sagę. „Bo autor fantasy, nie napisawszy solidnej sagi, nie jest prawdziwym autorem fantasy” – pokpiwał w swoim stylu. Sagę, złożoną z pięciu tomów, wydano w latach 1994–1999. Autora podejrzewano o postmodernizm, eskapizm, realizm magiczny, skrywany egzystencjalizm i o czarnoksiężstwo. Na prośbę Gdańskiego Klubu Fantastyki Sapkowski napisał opowiadanie „zamykające” sagę o GERALCIE „Coś się kończy, coś się zaczyna”. W tekście opisał wesele Geralta z Yennefer. Jak to na weselu – jest hucznie, rozrywkowo – jedno wielkie zamieszanie. Sam tekst zaś był żartem... Showrunnerka Netfliksa opowiada w wywiadach, że według niej w latach 90. sięgaliśmy (głównie my, Polacy, bo przekładów jeszcze wtedy za wiele nie było) po książki o wiedźminie, ponieważ szukaliśmy w nich odniesień do naszej ówczesnej rzeczywistości. Polacy, według Lauren, to ludzie przede wszystkim rodzinni. Więc i rodzina będzie dla serialu najważniejsza. Przeczytawszy wywiad, w którym to obwieściła, wyłączwszy odbiornik po ostatnim z odcinków, zapragnąłem poprzeć organizatorów akcji dotyczącej jej usunięcia.

Czego jak czego, ale reklamie i piarowi Netfliksa jakości odmówić nie można. Wszystko przemyślane, dopracowane. Nie ma przecieków, nie ma miejsca na tandetę i bezcelowość. Treści promujące „Wiedźmin” ukazują się w najlepszym czasie, ich jakość jest niezaprzeczalna. Nawet kiedy Henry Cavill opowiada o tym, jak przeczytał opowiadania i powieści, a następnie na planie improwizował dialogi, nie trzymając się scenariusza, prawie mu wierzę. Łatwo dać się tym zabiegom uwieść, zapominając, że słaby obraz musi mieć bogatą oprawę. Nadal jednak Netflix i jego spece od promocji wyprzedzają rodzime miasto Andrzeja Sapkowskiego (tak, tak, to Łódź) o wiele mil. Co zrobiono bowiem w Łodzi dla promocji wiedźmina? Mamy zapomniany skwer im. Wiedźmina, po mieście jeździ jakiś absurdalny „wiedźmiński” tramwaj, kiedyś tam Sapkowski został uhonorowany tytułem honorowego obywatela Miasta Łodzi i... Jest jeszcze mural. Prawdopodobnie największy. Problem w tym, że niekoniecznie przypomina Geralta. Podobnych bohaterów fantasy jest kilku.

Nie da się zapomnieć, że na podstawie prozy Sapkowskiego powstał i polski film kinowy, i rodzimy serial. Dziś oglądamy go z politowaniem, autor książek nie chciał nawet go komentować. Była to kłapa artystyczna, adaptacyjna, realizacyjna. Główny scenarzysta wycofał swoje nazwisko z napisów. Aktorzy na konferencji prasowej bez wstydu opowiadali, że nawet nie zajrzeli do książki. Wspomnijmy, polski „Wiedźmin” miał dwa dobre aspekty: główną rolę w wykonaniu Michała Żebrowskiego i muzykę skomponowaną przez Grzegorza Ciechowskiego.

Po prozę Sapkowskiego sięgali twórcy gier, komiksów, audiobooków, filmów i anime. Jego wizja i wyobrażenia inspirowały i nadal będą inspirować. Z czym warto się zapoznać, by nie mieć przykrego poczucia zmarnowanego czasu? Z oryginałami – czyli książkami. I to niekoniecznie z oklepanymi opowieściami o wiedźminie. Polecam trylogię „Narrenturm”. Na podstawie tej powieści Polskie Radio opracowało wyborne słuchowisko. Sięgnijcie po opowiadania, w tym „Maladie”, „Muzykanci”, „W leju po bombie”, po esej „Rzecz o Królu Arturze” oraz po „Rękopis znaleziony w Smoczej Jaskini”. Potem możemy się spierać, czy gry są lepsze od literatury albo czy serial dorównuje książkom. Możemy nawet pokłócić się o to, co autor miał na myśli. Chociaż nie wiem, skąd się dowiemy, co rzeczywiście miał na myśli, a co tylko – jak sam mówi – dokładnie wykalkulował i zaplanował.

Dawid Brykalski